Nr. 4. Rok II.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Poznań dnia 27 Stycznia 1872.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal. czyli 1 złr. 50 cent. w. a. — Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

PODOBNY ŚWIAT.

(Marka Wowczka „Opowieści ludowe").

Studjum literackie

Jana Grzegorzewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Opowieść, której treść wyżéj nieco przytoczyliśmy: „Ne do pary", przedstawia nam dwa odmienne typy, dwoje ludzi, różnych i charakterem, i wykształceniem: Parasię — kobiétę i Semena Palija — mężczyznę. Autorka opowieści (tu, jako ciotka Parasi) tak bezpośrednio charakteryzuje tego ostatniego:

„A Semen ten Palij to był dziwny i osobliwy człowiek w całém siole. Bogaty, a żył jak ubodzy ludzie żyją. Bywało on nie zarobi a straci, jarmarkując. Czy sprzedaje co, czy kupuje, to nie z korzyścią dla siebie, każden go oszuka, byle kto chciał tylko. Nie dla tego, aby on był tak sobie: rozumną miał głowę, i słowem bywało upoi cię, jak miodem; a przez to dziwny, jakiś dziwny był z niego człowiek. Takich ludzi i niewidziałam. Czasami bywało jak przyjdzie mu co do głowy: calutenki dzień boży przeleży w ogrodzie, albo noc przebłąka po stepie, po polu. Kto go wié, co mu takiego."

Skąpe to wprawdzie odszkicowanie typu, ale dostateczne i przez wzgląd na rozmiar całéj opowieści i na manierę toku osoby opowiadającéj, która, przyjąwszy na się rolę ludową, musiała odegrywać ją w duchu pojęć ludowych, w ogóle dalekich od wszelkich oderwanych i długich charakteryzacji — a zresztą i przez wzgląd na samą istotę typu, który jeśli gdzieindziéj rozwinięty i wyraźny, w życiu ludu jest jeszcze niejasnym, ogólnikowym, przynajmniéj dla ludzi opodal stojących i niewtajemniczonych w to życie. W wyobraźni wszakże naszéj możemy uzupełnić ogólne te rysy analogją spostrzeżeń nad innemi warstwami dokonanych.

I tak, Semen ten Palij był „dziwnym i osobliwym człowiekiem", a osobliwość ta zależała na tém, że żył nieodpowiednio tym środkom, jakie fortuna mu dostarczała: bogatym będąc, żył jak ubodzy ludzie żyją. ......

Żyć nad stan, nad możność swoją, potrafi każdy, kto tylko w otoczeniu jednakich z sobą skłonności ludzi rozwinie zdolność lekceważenia pracy obcéj. Skłonność owa tak dzielnie wpływająca na wyrobienie i rozwój tych zdolności sama się rodzi wśrod zbiegu sprzyjających okoliczności, kiedy praca ludzka niezbyt wielkiego potrzebuje natężenia, by podołać niezbędnym warunkom życia; jak to się n. p. dzieje przy bujnéj i obfitéj klimatu południowego wegetacji, zastępującéj w wielu razach pracę ludzką pracą sił przyrody, — lub przy niektórych kombinacjach dobrobytu społecznego, w którym pewne naturalne uzdolnienia (n. p. talenta artystyczne etc.) stosunkowo wyżéj bywają cenione niż wysilenia pracy codziennéj. W miarę tego jak się człowiek oswaja z taką łatwością życia, mniéj téż się i przywiązuje do samych środków wytwarzających tę łatwość, a następnie i do pierwszéj, najgłówniejszéj sprężyny naszego w czasach dzisiejszych istnienia — do pracy ludzkiéj, a więc i do jéj skutków; co jeszcze w gruncie rzeczy, bezwarunkowo ją biorąc, nie jest ani dobrą, ani złą stroną natury ludzkiéj: stosunek dopiéro, w jakim ta zdolność zostaje do innych czynników moralnych, przeważa ostatecznie szalę na korzyść jednéj lub drugiéj. W pierwszym razie powstaje i wykwita z téj bezpłciowéj, że tak powiemy, własności jeden z pięknych kwiatów uczucia ludzkiego — wspaniałomyślność, w drugim — brudny chwast tych uczuć — rozrzutność, wiodąca bezpośrednio do życia nad stan, do lekceważenia uczuciem i całą istotą człowieka, a w następstwie tegoż do brudniejszego jeszcze sobkostwa. Godną tu większéj uwagi jest różnica między wspaniałomyślnością bierną a czynną. Bierna, powstając wśród okoliczności omówionych wyżéj, wśród łatwości stosunków życia, tém się szczególnie za-

leca, że się wytwarza niejako sama przez się, pomimo usiłowań i pracy człowieka, powstaje w sercu bez współudziału woli rozumnéj. Taką jest wspaniałomyślność człowieka majętnego, który mało albo wcale żadnéj nie przywiązuje wagi do swoich bogactw, i jednocześnie unosi się n. p. litością dla niedoli, dla nieszczęścia. Pięknym czyn taki nazwiemy, szlachetnym, człowiekowi jednak temu miana takiego jeszcze nie damy: wszak usiłowania te jego szlachetne nie wiele go kosztują, mogą nic nawet niekosztować, mogą niebyć prawie żadném usiłowaniem, bo sam on nie przywiązuje wielkiéj wagi do swoich bogactw; a i samo uniesienie się uczuciem litości nie jest znowu uczuciem sfery wyższéj: brakuje mu świadomości. Człowiek unoszący się litością nie rachuje czynów z niéj wypływających na karb obowiązku, powinności, że tak musiał postąpić, a nie inaczéj, że to jego postępowanie jest obowiązkiem a nie zasługą, obowiązkiem, za który poczucie wdzięczności jemu się nie należy; — sam on najczęściéj pojmuje je w znaczeniu łaski dopełnionéj (a bywa, że nic nie pojmuje); a choć może nie zawsze ją bierze w tém znaczeniu, to tylko dla tego właśnie, że mało przywiązuje wagi do środków, któremi wyrządził łaskę — do bogactw, zasług, protekcji, usług. — Wspaniałomyślność więc bierna bezpośrednio wypływa z rozrzutności (wypływa niekiedy i z innych pobudek, ale tu chcemy powiedzieć, że może bezpośrednio wypływa z rozrzutności) i tuż obok niéj najczęściéj w życiu ludzkiém się spotyka z tą tylko, powtórzmy, różnicą, że rozrzutność człowieka majętnego (czy bogactwem przyrody, czy rozumem, zdolnością, usługami etc. — to wszystko jedno w tym razie) zwraca zasoby tegoż ku własnéj osobie, wspaniałomyślność zaś jego (czyli taż sama rozrzutność) skierowuje je i na inne osoby, często wcale niegodne korzystać z tego współudziału, lecz między któremi znajdują się i takie, dla których okruszyny te rozrzutności są istną potrzebą, a względnie do pierwszéj osoby uważane być mogą za wynik wspaniałomyślności.

Wspaniałomyślność czynna acz w pokrewieństwie niejakiém uczuć z bierną zostaje i może wypływa z takichże samych źródeł, jednak odmienną toczy się koleją i inny też, wznioślejszy charakter przybiera. Poczęta w zupełnéj świadomości dokonywujących się czynów, choć może niekiedy nie łączy takim węzłem wspólności osobę, od któréj wypływa z osobą, na którą spływa — jak to bywa ze wspaniałomyślnością bezświadomą, albo raczéj z pewnéj kategorji ludźmi wspaniałomyślności bezświadoméj — jest za to więcéj moralną, wzniosłą, i nieupadlającą człowieka a uzacniającą. Jeśli weźmiemy dwie osoby jednako majętne i jednakiéj sfery, lecz jednę z nich nieprzywiązującą zbytniéj wagi do swoich bogactw, drugą, przeciwnie, rachującą się z każdą ich odrobiną — i zechcemy je obie widzieć wspaniałomyślnemi, to, naturalnie, większéj potrzeba będzie usilności ze strony drugiéj przy rozłączeniu się z maluczką nawet częścią swego majątku, niż ze strony pierwszéj przy rozłączeniu się choćby z dziesięćkroć większą sumą. Świadoma więc czyli czynna wspaniałomyślność téj ostatniéj musi być o wiele wyższą, o wiele większéj zasługi i o wiele moralniejszą — témbardziéj, że z niéj bezpośrednio już się rodzi wyższa jeszcze wspaniałomyślność, wyższy stopień uczucia ludzkiego — świadomość już nietylko czynu dokonanego, lecz i głębsze pojęcie przyczyn jego. Człowiek ze wspaniałomyślnością czynną z łatwością wstępuje na ten wyższy stopień moralności, na którym ta wspaniałomyślność przestaje już być uczuciem łaski, a staje się obowiązkiem, koniecznością moralną — słowem powinnością, za którą do żadnéj wdzięczności poczuwać się niepowinno. Dla człowieka, który osiągnął ten szczyt wykształcenia moralnego, żadnych już nie będzie usiłowań, żadnych walk wewnętrznych dla zadośćuczynienia swym obowiązkom, bo same te obowiązki moralne będą dla niego składową i nierozdzielną częścią uczuć jego, dla zaspokojenia których i samo rozłączenie się z życiem będzie najmilszą roskoszą.

Do któréj tedy kategorji należy Semen Palij? Zdawałoby się, do pierwszéj: w tém jedném omówieniu — że na jarmarkach on najczęściéj nie zarobi, a straci — najdowodniéj wykazano, że jednocześnie musiał on być wspaniałomyślnym i rozrzutnym i owszem, że wspaniałomyślność ta jego płynęła z niebacznéj rozrzutności. Mógł on sobie sądzić, że między jarmarkującymi najczęściéj bywają ludzie z ludu, a ludzie ci w ogóle nie majętni — więc cóż naturalniejszego, jak, nieokazując im widocznie jakiéjś łaski, pomoże się w sposób przedaży lub zakupna. Byłaby to wspaniałomyślność piękna, szlachetna i wkraczająca już w granicę wspaniałomyślności czynnéj, świadoméj, przy któréj nie łaska, lecz poczuwanie się do obowiązku stoi wciąż przed oczyma. Lecz jednocześnie przecież będąc tak rozumnym, jak opowieść głosi o nim, iż „nie był on tak sobie — rozumną miał głowę“, musiał wiedzieć, że między jarmarkującym ludem wiele jest zawsze, jeśli nie oszustów, to ludzi lekkich, niepracowitych, starających się żyć owocem pracy obcéj, zabiegami obcemi i wyzyskujących łatwowiernych na korzyść swoją. Wiedząc więc o takich ludziach, dać się im oszukiwać, tracić w handlu z nimi, być tak nieoględnym, aby „każden go oszukiwał, kto chce tylko“ — jest to już przymiot ujemny, jest to rozrzutność. Ale jakże przy tym rysie licują inne, pozostałe i jak je z sobą pogodzić? Jak powiedzieliśmy wyżéj — rozrzutność jest matką życia nad stan. Lecz Semen nie żyje nad stan swój, a przeciwnie — niżéj stanu swego: jest on majętnym, bogatym, a żyje jak ubodzy ludzie żyją. Należałoby więc przypuszczać, że jest to rys przydzielający go zupełnie do ludzi kategorji drugiéj, i owszem — nawet wyżéj po nad nimi go mieszczący — słowem rys to uszlachetniający całą jego istotę. Któż będąc bogatym żyje jak ubodzy? Chyba tylko skąpiec i sknera, a tacy ludzie nie udzielają się innym, bo i samym sobie nie udzielają się, a żyją również niżéj stanu swego. Lecz Semen jest rozrzutnym „bo prędzéj straci niż zarobi“, a przy rozrzutności — wspaniałomyślnym; żyć więc może ubogo dla tego tylko, aby zaoszczędzone, odjęte osobie swojéj zasoby przelać tém łatwiéj na innych, aby być wspaniałomyślnym, aby być zawsze w możności poratowania nieszczęścia i biedy innych. Jest to więc rys duszy jego piękny, uzacniający, moralność wysoko posunięta. Przypuszczenie to jeszcze się więcéj stwierdza rzeczywistym obrazem z życia jego. Kiedy w sąsiedztwie umarł ojciec dzieci, a wdowa po nim, dla ubieżenia nędzy, sprzedawała nieruchomości i cały dobytek, żona Semena prosiła go, aby to nabył dla swego gospodarstwa:

„Kup — powiada — tanio kupisz u niéj.“

— „Sierockiém mieniem chcesz się zbogacić, Parasiu“ — odpowie jéj z wyrzutem.

Parasia przekonywa go, że przecież wszystko jedno: inni ludzie kupią.

— „Ale nie my.“

Śliczna cnota, piękna wspaniałość ducha!

Ten jeden rys wystarczyłby do zaliczenia Semena pomiędzy ludzi najszlachetniejszych, najczystszego serca. I takim on też był w istocie. Uprzednie wszakże rysy życia jego tak są zagadkowe, tak kapryśne, tak silne zostawiają po sobie wrażenie, a wrażenie niekorzystne — że pomimo pewnéj świadomości, jaką mieć musiał w sercu, pomimo iż przeświadczenie o lepszych wymogach ducha ludzkiego nie było obcém — trudno go nazwać istotą czynną: natura to bardziéj bierna. A bierność, pomimo rysów świadczących przeciwnie, spoczywa właśnie w nadmiarze czynności ducha, w przewadze jednych władz duchowych na innemi. Duch czynny, sam

w sobie, niewystępujący na zewnątrz, a zeŝrodkowany na własnéj istocie.

To zjawisko wytłumaczyć tylko można innym, uzupełniającym całą naturę rysem — tęsknotą do ideałów:

„Czasami bywało jak przyjdzie mu co do głowy — caluteńki dzień boży przeleży w ogrodzie, rzekłbyś, niemoc go trapi — albo noc przebłąka po stepie, po polu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SIOSTRZENICA KSIĘDZA PROBOSZCZA.

Powieść ze świeżych zdarzeń

napisana przez

Michała Bałuckiego.

I. Pod zasłoną nocy.

(Ciąg dalszy.)

— Owszem mów, mów moje dziecko. To mnie bardzo zajmuje. Nie znałem życia z téj strony. Zdawało mi się, że za granicami światła i cnoty, jest tylko noc i występek — a znajduję tyle odcieni, odmian, tyle łagodzących okoliczności, które mi wzbraniają rzucać bezwarunkowo potępienie. — I cóż stało się z twoją siostrą? —

— Siostra moja niepokazała się odtąd w domu. Dopiéro po śmierci matki przyszła i zabrała mnie z sobą. Zajmował się nią wtedy także kapitan huzarów, ale już nie ten, co wprzódy. — On to namówił ją do wyjazdu do Wiednia. Zabrała mnie więc z sobą i tu przywiozła. Miałam już wtedy lat trzynaście. — Niezadługo i ten wojskowy przestał bywać — natomiast bywali inni i wojskowi i cywilni. Aniela prowadziła wtedy życie nadzwyczaj gwarne i wesołe, stroiła się nadzwyczaj pięknie i bawiła ciągle. Po całych nocach nieraz odprawiały się u nas uczty. Ja nie brałam w nich jeszcze udziału. Przebywałam po większéj części w kuchni ze służącą, gdziem kołysała małego Zygmuntka. Był to owoc pierwszego zapomnienia się Anieli. — Żyłam jeszcze jak dziecko. — Ale złe zbyt było blisko mnie, bym się go uchronić mogła. Zaczęłam zazdrościć Anieli strojów i zabaw — i — upadłam. Upadłam pierwéj, nim zrozumiałam całą brzydkość mego występku. Odtąd z Anielą dzielilam się uciechami, upodleniem i zyskiem. Ona wprowadziła mnie tam, gdzie mnie dziś zobaczyłeś. Pchnięta raz na tę drogę toczyłam się coraz daléj, coraz niżéj, jak kamień z góry rzucony. — Widzisz — mówiła daléj Pepi podnosząc błagalne spojrzenie na Augusta — wyspowiadałam ci się jak księdzu na spowiedzi — powiedziałam ci wszystko. — Wiem, że jestem występną; ale pomyśl zkąd dziecko mogło mieć tyle siły i przezorności, by się uchronić od zepsucia, wśród którego żyło, które było jéj codziennym chlebem prawie. Nie miałam matki, coby mnie strzegła od złego, nie miałam nawet nikogo, coby mi powiedział, co złe a co dobre.

— I cóż stało się ze siostrą twoją? —

— Umarła w szpitalu. Rozpusta była przyczyną jéj śmierci. — Nie zapomnę nigdy ostatnich jéj chwil, straszne one na mnie zrobiły wrażenie — i upamiętały mnie. Odtąd życie, jakie wiodłam, zbrzydło mi a pragnienie zmiany poczęło mnie coraz więcéj męczyć i prześladować.

Słowa te mówiła już na progu domu, w którym mieszkała. Wspięła się na palcach i zadzwoniła. August podał jéj rękę na pożegnanie. Nie spodziewała się widać tego, bo zdziwiona spojrzała na niego i spytała:

— Jakto — odchodzisz? — A wszak chciałeś pogadać ze mną — sam to mówiłeś.

— Inną razą. Dziś już późno. —

— Znudziłam cię, już ci za wiele, a mnie za mało. — Tak rzadko zdarza mi się mówić z uczciwym człowiekiem i w uczciwy sposób — że jestem nienasyconą. O! nie odchódź jeszcze. —

— Prosiła i schyliła twarz ku jego dłoni. August uczuł na niéj pocałunek. Wyrwał ją zażenowany i rzekł:

— Co robisz? —

— Proszę cię, nie wzdragaj się zrobić dobrego uczynku. Nie opuszczaj mnie nie pocieszywszy, nie umocniwszy, — Obecność twoja jest dla mnie jak świeża krynica dla ust spieczonych gorączką. —

W téj chwili stróż zaskrzypiał kluczem w zamku.

— Więc pójdziesz? — spytała.

August nie miał odwagi odmówić prośbie i wszedł za nią do sieni. Podała mu rękę i po ciemnych, krętych wschodach poprowadziła na trzecie piętro. Tu otwarła jedne drzwi i weszli do niewielkiego pokoiku oświeconego zadymioną i przyćmioną lampką wiszącą nad kominem. Na tapczanie leżała jakaś stara baba, która za ich wejściem poruszyła się, zamruczała zaspana kilka niezrozumiałych wyrazów i odwróciwszy się ku ścianie usnęła znowu. — Pokoik, do którego weszli był zarazem kuchenką i garderobą, stały w nim oprócz sprzętów kuchennych i naczyń — także kufry z rzeczami. Na jednym z nich Pepi położyła salopkę swoją i zapaliwszy lampę zaprowadziła Augusta do drugiego pokoju. Ten już był dość wytwornie umeblowany, jednak z nieładu, jaki w nim panował i z rażących kontrastów zbytku i niedostatku, które w całém urządzeniu przebijało, poznać można było zaraz, że to nie jest cichy przybytek pracy i spokojnego życia, ale koczownicza jakaś siedziba, w któréj odbywa się często niespokojna i gwałtowna gra losu. — Charakter mieszkania i duszna jego atmosfera niemiłe zrobiły na Auguście wrażenie. Zaczynał żałować, że tu przyszedł; wstrętnym mu był pobyt w tém miejscu, gdy sobie pomyślał jakiego upodlenia i jak częstym ono było świadkiem. — I postać skruszonéj grzesznicy straciła wiele w jego oczach wśród tego otoczenia. — Usposobienia tego nie umiał ukryć, musiało się ono dość wyraźnie odbić na jego twarzy, bo Pepi spostrzegła je, lubo nie domyśliła się powodu.

— Co ci jest? — spytała zaniepokojona. — Może żałujesz, że przyszedłeś tutaj? Niech ci się zdaje, że z tego czasu zrobiłeś ofiarę i dałeś mi go jak jałmużnę dziadowi. — Usiądź, proszę cię. —

Sprzątnęła z kanapy kaftanik tam leżący i wskazała Augustowi, aby usiadł i sama usiadła przy nim. — Chwilę jakąś trwało milczenie; oboje nie wiedzieli od czego zacząć rozmowę. Wśród téj ciszy dał się słyszeć z kąta pokoju głośny oddech, jakby śpiącego człowieka. — Augusta to zmieszało. —

— Ty tu nie sama mieszkasz? — spytał patrząc badawczo na Pepi. — Ktoś tu śpi. —

To mały mój Zygmuntek. — Chodź, zobacz mego

aniołka jasnowłosego. — Wzięła lampę w rękę i zaprowadziła Augusta do łóżka, na którém z pod pierzynki wyglądała śliczna twarzyczka małego chłopca okolona pierścieniami jasnych loków. Mocny sen zarumienił silnie białe policzki śpiącego. —

— Prawda, że śliczny chłopiec? — rzekła Pepi patrząc na niego z wyrazem macierzyńskiéj czułości. —

— Więc to jest syn Anieli? —

— Tak — sierota. Ja mu tylko zostałam. — To jedyna istota, dla któréj pragnę żyć na świecie. Gdyby nie to, już dawno rzuciłabym się do Dunaju. —

— Wieleż ma lat to dziecko?

— Pięć skończył w styczniu. — Już zaczęłam go uczyć czytać; duże robi postępy, bo malec jest pojętny i nad wiek roztropny. I dla tego przyjdzie mi niezadługo z nim się rozłączyć; odwlekam tę chwilę z dnia na dzień, a jednak trzeba się zdecydować na to, by dziecina nie domyśliła się wszystkiego. On nie powinien nigdy wiedzieć o hańbie swéj ciotki — nie chcę, aby mną kiedyś pogardzał. — Toby było okropnie. —

— I cóż z nim zrobisz? —

— Oddam go gdzie do dobrych ludzi na wychowanie, gdzie daleko ztąd, będę płacić od niego. Każę go uczyć. Sobie odmówię wszystkiego, byleby on wyszedł na człowieka. Może kiedyś na stare lata odda mi to; — będę więc miała kogoś na świecie. —

August spojrzał z rozrzewnieniem na mówiącą. Chwilowy niesmak, jaki uczuł wchodząc do tego mieszkania, ulotnił się od ciepła tych słów prostych a tak pełnych uczucia i poświęcenia. Uczuł rodzaj szacunku dla téj upadłéj kobiéty — zbliżył się do niéj i gładząc jéj czarne kędziory rzekł:

— Pepi, jesteś dobrą dziewczyną. —

— Chodźmy, — szepnęła kładąc palec na ustach, światło i rozmowa mogłyby go zbudzić. —

— Nachyliła się ku śpiącemu i ostrożnie złożyła pocałunek na jego spoconém czołku. —

— Śpij, mój robaczku — rzekła, poprawiła pierzynki i wróciła z Augustem na kanapę. —

Gdy usiedli August długi czas wpatrywał się w nią z poważnem zamyśleniem. Potém zbliżył się ku niéj i wziąwszy ją za rękę rzekł:

— Słuchaj Pepi —

— Nie nazywaj mnie Pepi, to nazwisko zbrukane, zeszargane przez tyle ust. Nazywaj mnie tak, jak mnie nazywała matka moja — Józią. —

— A więc Józiu, powiedz mi szczerze, czy masz rzeczywiście chęć porzucić ten sposób życia, jaki dotychczas prowadziłaś? —

— Czy ja mam chęć — Boże! Całe szczęście moje mieści się w tych chęciach.

— I do czegoż chciałabyś się wziąść — do jakiéj pracy? —

— Myślałam zawsze o krawieczczyznie — to jedno, co daje jakie takie utrzymanie w dzisiejszych czasach kobiécie. Mówiono mi wprawdzie, że mam talent dramatyczny, namawiano mnie bym wstąpiła na scenę, ale ja nie chcę tego, ja chciałabym ludziom całkiem zejść z oczów, żyć cicho i pracować. —

— To dobrze, to bardzo dobrze. — Zajmę się więc wyszukaniem ci jakiego odpowiedniego miejsca, będę się tobą opiekował i dopomagał ci, dopóki się nie poduczysz o tyle, abyś sama mogła zapracować na siebie. —

— Ty chciałbyś to uczynić — o mój zbawco! — zawołała z uniesieniem i rzuciła się do nóg jego.

— Józiu, co robisz, wstań. —

— O! nie! pozwól mi tak zostać — i to już wiele szczęścia dla mnie, że taki zacny człowiek nie odpycha mnie od nóg swoich. — Mnie tu tak dobrze. To mi przypomina czasy, gdym głowę moją kładła na kolanach matki. O! zostaw mnie tak. —

Objęła jego nogi i położyła głowę na jego kolanach. On ręką przytulił tę głowę i mówił daléj:

— Potrzeba przedewszystkiém, abyś co prędzéj zmieniła mieszkanie. Wyszukam ci je gdzieś na odległém przedmieściu, gdzieby cię znajome twoje odszukać nie mogły. Tam będziesz mogła żyć spokojnie. —

— I nie rozłączać się z Zygmuntkiem moim. —

— Tak. — On będzie dla ciebie aniołem stróżem, dla niego będziesz się starała być cnotliwą. —

— Dla niego i dla ciebie. Bo wszak nie zapomnisz o mnie. Będziesz mnie odwiedzał, prawda? Będziesz mnie wspierał radą i przykładem, ty mnie nauczysz jak żyć, aby być uczciwą i dobrą. —

— Nie zapomnę o tobie, będę czuwał nad tobą, ale z daleka. Bo za dni kilka opuszczam Wiedeń. Jadę także pracować na kawałek chleba.

Posmutniała przy tych słowach jego.

— Jakto, więc cię nie zobaczę? A ja sądziłam, że ty mnie już nie opuścisz, — że będę mogła codzień całować twoje ręce i dziękować ci za dobrodziejstwo twoje; że — tu zawahała się, jakby szukając słów, a potem dodała nieśmiało — że pozwolisz mi przywiązać się do ciebie, choćby jak niewolnicy. —

— To niepodobna. — Nie wymagaj odemnie niczego więcéj nad to, co dać mogę. Chcę być dla ciebie tylko ojcem, opiekunem — niczém więcéj. —

— Niczém więcéj — powtórzyła jak echo i utonęła w posępném zamyśleniu. —

— Będę pisywał do ciebie, dowiadywał się pilnie, co robisz, jak się zachowujesz i niekiedy zajrzę tu do ciebie. —

Mówiąc to gładził jéj włosy a ona całowała jego ręce i oblewała je łzami.

— A teraz czas już odejść — rzekł patrząc na zegarek. — Już piąta.

— Piąta? — spytała zdziwiona — jakże ta noc prędko przeszła, gdy tyle innych wlekło się dla mnie tak powoli. —

Wstał i ją podniósł z klęczek. Była mu posłuszną jak dziecko, patrzała z miłością i uwielbieniem na niego, a rękami przytrzymywała dłoń jego, jakby go tym niemym giestem zatrzymać chciała.

— Na pierwsze niezbędne potrzeby zostawię ci trochę pieniędzy, a jutro sam przyjdę i ułożymy resztę. — To rzekłszy dobył pugilares. Wstrzymała jego rękę i rzekła z pośpiechem:

— Nie chcę, nie chcę. —

— Czemu? —

— Nie zrozumiesz mnie może, gdy ci powiem, że toby mnie upokarzało. Nauczyłam się brać pieniądze za rozpustę bez zarumienienia, bo je brałam w przekonaniu, że zapracowałam na nie. Ale tak brać za nic — i to od ciebie — to mnie wstydzi. Zdaje mi się, że biorę jałmużnę. Dziwne skrupuły, ale je uszanuj. Pieniędzy mi nie potrzeba. Wszak jutro i tak przyjdziesz i zajmiesz się moim losem. — Prawda? —

— Przyjdę. — A więc do widzenia do jutra. —

Przytulił ją do siebie i złożył pocałunek na jéj czole, a ona tymczasem pocałunkami okrywała jego rękę i płakała. —

— Czemu płaczesz? — spytał August.

— Nie wiem czy to szczęście tak mi ściska serce, ale mi czegoś smutno i trwożę się, że cię więcéj nie zobaczę. —

— Dziecko jesteś. Wszak powiedziałem, że przyjdę. — Bądź zdrowa. —

Pocałował ją raz jeszcze w czoło i wyszedł do drugiego pokoju. —

— A szal, — rzekła podając mu szal z kuferka. — Tam zimno. —

— Może ci będzie jutro potrzebny. —

— Na co? nie będę wychodzić wcale, będę czekać na ciebie. —

Otuliła go starannie szalem i poświeciła na schody. Za odchodzącym jeszcze raz rzuciła z góry pożegnanie.

Szarzało już kiedy August dostał się na ulicę. Szedł spiesznie i przez drogę rozmyślał o losie Józi. —

— Jak to dobrze — mówił do siebie — że dałem się namówić Zenonowi na dzisiejszą wycieczkę. — Obecność moja była tam potrzebną. Uratuję jednę nieszczęśliwą. — Tak, zajmę się na serjo jéj losem. —

I rozmyślając nad tém w jaki sposób urządzi życie swéj pupilce, ani spostrzegł się jak prędko stanął przed bramą hotelową. Zastał tam jakiegoś mężczyznę dobijającego się także do bramy. —

— Czy pan dzwoniłeś już? — spytał August nieznajomego.

— Już! Ale stróż zaspał sobie widać. —

August pociągnął za dzwonek i czekając rozpoczął z nieznajomym gawędkę. Nieznajomy widocznie był już nie młody, trzymał się pochyło i ubrany był w stary szynel wojskowy. Gdy się obrócił ku latarni, August poznał w nim ze zdziwieniem owego grajka od Sperla. I twarz pomarszczona i biały krawat wyglądający z pod szynela potwierdziły jego domysły. Teraz dopiéro pojął dla czego twarz grajka zdawała mu się znajomą; widział ją bowiem parę razy w izbie na poddaszu vis à vis swych okien. Tylko ubiór niby balowy pomylił mu poznanie go u Sperla. —

— Więc to jéj ojciec — pomyślał sobie. — Grajek od Sperla jéj ojcem; tego nie przypuszczałem. —

Stróż zbudzony silném dzwonieniem otworzył wreszcie bramę. August w sieni pożegnał staruszka i wbiegł na schody — a stary grajek powlókł się po omacku w głąb podwórza. —

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Życie artysty.

Piękny młodzieńcze, o wynioslém czole,
O czém tak dumasz? zachwyt na twéj twarzy
Mówi, że serce o czémś słodko marzy,
Że myśl twa błądzi w czarodziejskiém kole...
— Widzisz siwiznę, co mi głowę bieli?
Pozwól niech starzec twoją myśl podzieli!

Zerwał się — spojrzał, twarz spłonęła młoda,
Oko się dziwnym ogniem zaiskrzyło,
Zadrżało serce z niezwyczajną siłą...
Biedny marzyciel! jakaż złudzeń szkoda!
Może za sławą myśl wyniosła goni...
Niech marzy słodko! — któż marzyć zabroni? —

Lecz słuchaj. synu, tobie się wydaje,
Że świat ten piękny sprawdzi sen młodzieńczy,
Że liściem lauru twoją skroń uwieńczy
I czarodziejskie otworzy ci kraje...
Chcesz być artystą, sztuce służyć wiernie...
Lecz, znając kwiaty, czy ty znasz jéj ciernie?

Czy ty wiesz o tém, że w życiowéj burzy
Może te kwiaty smutny los rozwieje,
Że to co dzisiaj do ciebie się śmieje
Może się późniéj złowrogo zachmurzy,
Że czara szczęścia, co tak nęci zdradnie
Może truciznę zwątpienia ma na dnie...

Wyrzec się siebie, rozkazywać sercu
Milczeć, gdy ono silniéj zakołata
I twarz wesołą mieć zawsze dla świata,
Jakbyś na kwietnym spoczywał kobiercu,
Tamować, gasić zapał płomienisty,
I grać komedję — oto los artysty!

Uznanie świata... — to pomnik na grobie,
Sława za życia... — okrzyk tłumu pusty,
Co dziś cię sławiąc bezmyślnemi usty,
Jutro zapewne zapomni o tobie,
A mąk nagrodą tobie pozostanie
Opuszczonemu szpitalne posłanie...

Lecz — jeśli, synu, silna twoja dusza,
Jeśli wytrwale chcesz dążyć do celu,
Jeżeli widzisz, jak skończyło wielu
I obraz taki ciebie nie porusza —
Błogosławieństwo daję ci na drogę;—
Uwielbiam ciebie, choć żałować — mogę!

Bodajbym błądził! bodajby to życie,
Los opromienił szczęścia aureolą.
Byś się nie spotkał z nędzą i niedolą,
Idąc uważny wciąż na serca bicie,
A kiedy przyjdzie rozstać się ze światem,
Byś tego życia nie nazwał dramatem!

Kraków 12. 1. 1872.

Stanisław Grudziński.

Józef Bogdan Dziekoński.

Przyczynek do życiorysu

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Z Moich Wspomnień).

Józef Bogdan Dziekoński urodził się w Warszawie r. 1815. Był synem Tomasza i Tekli z Błociszewskich Dziekońskich, a zakończył życie na tułactwie 10 lipca 1855 r. w szpitalu Beaujou, w Paryżu.

Pan Tomasz Dziekoński — ojciec — były dyrektor szkół, wydał następujące dzieła: „Życie Napoleona“ — „Obraz świata pod względem geografji, statystyki i historji wszystkich krajów“ — „Historję Francji“ — „Historję Anglji“ — „Historję Hiszpanji“ i t. d. — Żyje dotąd jeszcze i podobno w umysłowéj nie ustaje pracy. — Pani Dziekońska przed kilkoma laty umarła. — Syn ich Antoni, sędzia kryminalny, inteligentny, wykształcony, naukowy, żywy, dowcipny, także już nie żyje. Zostało się po nim trzech synów. Jeden podobno w r. 1863 w powstaniu poległ.

Józef Bogdan, znany w świecie literackim i publi-

cystycznym z niepospolitych zdolności i charakteru, ukończywszy szkoły w Warszawie, zostawał przez lat kilka na uniwersytecie w Dorpacie i Królewcu, gdzie medycyny słuchał. Później doktoryzował się w Moskwie — a! nie w Dorpacie, z rozkazu władz rządowych, jako podejrzany o rozszerzanie ducha narodowego pomiędzy młodzieżą.

Będąc na uniwersytecie odmawiał sobie wszystkiego, a obdzielał przez ojca nadsyłanym mu funduszem ubogich studentów. Sam mieszkał pod strychem, w jednéj chodził sukni i najskromniejszą żył strawą. — Raz wygrał na loterji paręset talarów, i wszystko rozdał ubogim.

Urodził się z uczuciem tęsknoty — a podobno cierpiał na wadę organiczną serca. I nieraz, w Dorpacie, napadnięty tym bólem tęsknym, porzucał nagle wszystko i pospieszał do rodziców, mieszkających w Ustroniu pod Warszawą — choćby na dni kilka — poczém zaraz znowu do swoich powracał studjów.

Był aresztowany za jakieś posądzenia, podejrzewania czas jakiś. A potém... smutny nadzwyczaj wypadek zaszły w jego uuiwersyteckiém, koleżeńskiém życiu, całą zamącił mu przyszłość. I gdy go ukłóło, zakrwawiło to wspomnienie, cierpiał głęboko — dotkliwie — uciekał od ludzi — i całkiem dla znajomych na dni kilka znikał. Mówiono, że w samotności szukał odurzenia myśli i pamięci.

Skończył kurs medyczny, doktoryzował się, ale praktyce nie oddawał się nigdy; powrócił do rodziców i przy nich w Ustroniu zamieszkał. Wiele nad nauką chemji pracował. Te studja doprowadziły go do alchemji — i ztąd zrodził się Sędziwój, powieść fantastyczna w trzech tomach. Głównym bohatyrem jest Sędziwój, znany alchemik za Zygmunta III. Ale wchodzą do niéj i obcy sławni alchemicy, jak to Seyton, Szkot, i t. p. — Jest to powieść w rodzaju Zanoni'ego Bulwera, pięknie i z wielką napisana werwą. Rozdziały: Tortury — Mistrz i uczeń, do najpiękniejszych w tym rodzaju należą. Autor zbadał wszystko, cokolwiek o Sędziwoju napisano; przewertował dzieła o alchemji traktujące — zbadał je... i bardzo sumiennie pracę swoją wykonał. Sędziwój w szerszych kołach mało jest znanym, bo Bogdan Dziekoński kazał niewielką tylko liczbę odbić egzemplarzy, a z tych część znaczną rozdał między przyjaciół i znajomych. Nie chodziło mu też wcale o rozgłos i sławę — bo pod tym względem był dziwakiem.

Powieść ta wyszła w roku 1845, a jest dzisiaj już rzadkością bibljograficzną.

Wrodzona tęsknota napadała Bogdana Dziekońskiego i w Ustroniu, u rodziców, i wtedy pobiegł — nie pytając o fundusz podróżny — w kraj szeroki, daleki, polski. Po drodze, po wioskach, malował świętych — i obdzielał niemi wieśniaków — stroił organy — i naprawiał zegary, bo do wszystkiego miał zdolność.

Miłość kraju przewyższyła w nim każde uczucie, a pełen wiary w świętość sprawy i przyszłość Polski, biegł wszędzie na jéj usługi, gdziekolwiek mu najlżejsza zabłysła nadzieja; — a przekonany, że Polska tylko własnemi dźwignąć się może siłami, pragnął to przekonanie pomiędzy młodzieżą i ludem utwierdzić.

W ciągu wędrówek swoich po kraju całym, od Finlandji do Karpat, daleki od obawy o własne bezpieczeństwo, wszędzie to zdanie swoje otwarcie wygłaszał, czyli to po dworach zamożnych, po zaściankach szlacheckich, czyli też po chatach wieśniaczych. I wszędzie w sercach polskich polskiéj szukał ojczyzny — o jéj byt pytał: ażali tu kraniec ostatni kraju, żywa strażnica dawnéj Piastów dziedziny.

Powieści jego, Sędziwoj, myśl ta przewodniczyła. W niéj on złożył treść swojego widzenia: nie w skarbach złota, ale w skarbach ducha odkrywając narodowi potęgę, nie w martwéj materji, ale w życiu i pełném działaniu, przynależném mężom silnéj woli. — Z natury poeta, kiedy serce jego bólem tego co widział ugodzoném zostało, wysnuwał fantastyczne obrazy, na tle których łza gorżka spoczęła. Albo zabierał pędzel i paletę i biegł w kraj daleki — gnany żalem — szukając wśród niw zielonych i lasów, wśród ludu prostego na tę chorobę lekarstwa.

Pisywał niemal do wszystkich pism czasowych warszawskich, bo wszędzie prace jego literackie były upragnione. — Bibljoteka Warszawska zamieściła kilka jego powieści, które podobały się bardzo — jako wyższą naznaczone zdolnością. Pomiędzy temi zajmowała szczególniéj „Siła woli“, traktująca o magnetyzmie, którego wielkim był zwolennikiem. — Jako współredaktor Dzwonu literackiego — którego mąż mój głównym był redaktorem — wielce był troskliwym o powodzenie pisma. — Recenzje jego należały do najgruntowniejszych. — Z języka francuzkiego przetłomaczył O naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

Z nowszéj dramatyczno-poetyckiéj literatury niemieckiéj pociągał go szczególniéj dramat Hebbel'a Genowewa, dziwną oryginalnością, czémś całkiem odrębnie pięknem, to urokiem religijnych, miękkich uczuć niewieścich, to siłą namiętnego, dzikiego porywu, — i świeżością porównań. — Przeczytaliśmy z nim utwór ten, w ściślejszém gronku, z wielkiém zajęciem.

— Niemcy nie wiedzą, co mają — powtarzał — nie umieją ocenić tego utworu, może przez antagonizm do katolicyzmu. Obcy tylko nań, jak Anglicy, zwracają uwagę.

I miał słuszność. Bo gdym w lat kilka późniéj, po księgarniach berlińskich Agnes Bernauer szukała — tragedję zachwaloną w Revue des deux mondes — odpowiedzieli mi: Nie znajdziesz tu pani Hebbel'a, nie cenią go tu, denn er ist zu katholisch.

Późniéj Hebbel ciężko zawinił, wierszem swoim na koronację króla Wilhelma I, gdy nas, Czechów i t. p. ludy Die Bedientenvölker nazwał, uważając narody czasowo ujarzmione jako karyatydy społecznego ogromu. — O srom poecie, który w ten sposób poniewiera dar Boży! —

W Warszawie zchodził Bogdan Dziekoński często do najniższych, do obrzuconych kałem warstw społecznych, ażeby je poznać, zbadać i na ich umoralnienie wpłynąć. Posłyszał o szynkowni na Starém Mieście, podziemnéj, gdzie zbierają się złodzieje, i tam zaszedł w przebraniu, z narażeniem życia. — Znał główne i najważniejsze figury policji tajnéj — a byli pomiędzy temi ludzie naukowo wykształceni, niestety! — zbliżał się do nich — i przestawał z nimi... Wiedział ztąd wiele i bardzo wiele. Zebrał bogaty a ciekawy zapas do napisania Tajemnic Warszawy, i miał zamiary po temu — lecz te zapiski i dowody różne kazał wszystkie popalić. O czém poniżéj.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kilka słów
w przedmiocie przekładów z języków obcych na polski*).

W pierwszym tegorocznym numerze czasopisma warszawskiego Tygodnika Mód pani Eliza Orzeszkowa, jedna ze zdolniejszych i najzasłużeńszych autorek naszych na polu belletrystyki, w szlachetném tego słowa znaczeniu, rozpoczęła obszerniejszy przegląd wielce cennego dzieła Edwarda Labouley'a „Paryż w Ameryce", utyskując na wstępie, że podczas gdy posiadamy przekłady tyle wątpliwéj wartości dzieł Pawła Kocka i Dumasa, dzieła poważniejsze, zwiastujące ludzkości nowe pojęcia, nowe idee, te prawdziwe djamenty literackie, do jakich i „Paryż w Ameryce" należy, rzadko kiedy lub nigdy na język polski przekładane nie bywają i twierdzi, że dzieło to nie było dotąd mowie naszéj przyswojoném.

Winniśmy przedewszystkiém sprostować tu małą omyłkę autorki: „Paryż w Ameryce" był przed kilkoma laty przetłomaczony na język polski i zamieszczony w Dzienniku literackim lwowskim a następnie wyszedł w osobnéj odbitce. Nazywamy to małą omyłką, bo niewiadomość grzechu nie czyni, a Szanowna autorka zapewne dla tego tylko nie wiedziała o wyjściu tego dzieła w języku polskim, że cenzura nie dozwoliła przekładowi wstępu do Warszawy.

Mniejsza o pomyłkę — ale słowa pani Orzeszkowéj o przekładach w ogólności wypowiedziane, nasuwają nam kilka myśli, które radzibyśmy oddać pod sąd opinji publicznéj. Idzie tu o rzecz ważną, bo o kierunek naszego piśmiennictwa, o stosunki wewnętrzne naszéj jedynéj dzisiaj potęgi... Sprawa jest nagła i godna aby ją wszystkie pisma pod ścisłą wzięły rozwagę.

Słusznie utyskuje autorka na przekłady powieści z obcych języków. Zagęszczają się one coraz bardziéj, powstało nawet w ostatnim czasie kilka olbrzymich jak na nas przedsiębiorstw fabrycznych do wydawania takich przekładów. Jest to bardzo smutny objaw. J. I. Kraszewski powieściami swemi ledwie na jakiś czas powstrzymał tę nawałę — dzisiaj znowu dawne wracają czasy, a niema nikogo, coby temu skuteczny stawił opór. Wina tego kierunku, wielce dla nas szkodliwego, spada zarówno na nakładców jak i na piszących. Jedni i drudzy ciężko za ten grzech odpowiedzą przed potomnością. Czy może zmieniły się stosunki? Czy jest teraz jaki wybór w przekładach? Czy może powieści przełożone nie są już tak szkodliwemi jak dawniéj? Gdzieżtam! Stosunki bynajmniéj się nie zmieniły, a powieści przełożone w rękach czytającéj publiczności są również jak dawniéj tém samém, czém po dziś dzień jest niemiecka lalka, niemiecki hanswurst i niemiecki obrazek w rękach dziecka polskiego — są narzędziem do zatarcia indywidualności narodowéj. — Czytanie książki, jakakolwiek będzie jéj treść, jest w gruncie zawsze nauką złą czy dobrą — zawsze jednak jest nauką, a czytanie powieści: nauką zatrudniającą silnie umysł, uczucie, fantazję, wprawiającą często wszystkie nerwy w wibrację. Wywiera ono też wpływ bardzo silny — i bardzo prędko się przyjmujący. Powieść przynosi nam cywilizację — bezspornie, bo przystępnością swoją wnika w massy. Mamy tysiące ludzi, którzy z powieści uczą się przynajmniéj sztuki życia, jeżeli nie czego innego. Ale niezaprzeczonym, dowiedzionym jest faktem, że od jakiego narodu przyjmuje kto cywilizację, do tego przywiązuje się tak silnie, iż przejmuje jego zasady, idee, wyobrażenia, pojęcia, nawet charakter, do tego stopnia, że choćby człowiek taki przysięgał, że jest Polakiem, chociażby nawet dla dobra Polski pracował, będzie on niemniéj przecież cudzoziemcem; wszystko co czynić będzie — będzie czynił jak Francuz — jak Niemiec — jak Anglik, ale nie jak Polak. Z tych powieści, aczkolwiek na polskie przełożonych, nauczył się on myśleć, czuć i działać po francuzku, po niemiecku, po angielsku i nigdy się już z téj obczyzny nie otrząśnie, nigdy już wad obcych całkowicie pozbyć się nie zdoła.

Chociaż winę coraz większego rozszerzania się przekładów powieści przypisujemy głównie tylko wydawcom i autorom, nie możemy powiedzieć aby i publiczność czytająca całkiem tu była bez winy. Gdyby powieści oryginalne czytano, gdyby młodszych pisarzy, okazujących talent wspierano, zachęcano, gdyby się zmniejszył odbyt na przekłady, wkrótce i wydawcy i piszący byliby zmuszeni zmienić kierunek dzisiejszy, tak szkodliwy dla całéj naszéj społeczności. O zabójczym wpływie powieści dla dzieci z obcych języków przekładanych, których cyfra z każdym rokiem olbrzymio się powiększa, innym razem pomówimy obszerniéj.

Przechodzimy teraz do przekładów dzieł poważniejszéj treści, dzieł, w których chodzi o zaszczepienie narodowi nowych idei, nowych pojęć. Ponieważ jeszcześmy się nie skosmopolityzowali, i mamy wiele własnéj, narodowéj odrębności, sądzimy, że z rozszerzaniem takich nowych pojęć bynajmniéj spieszyć się nie ma potrzeby. Skoro naród do przyjęcia tych idei nie dojrzał, lub do nich nie jest należycie usposobionym, to ich nie przyjmie i żadnego z nich nie odniesie pożytku, albo je téż przekręci i niewłaściwie użyje. Co ważniejsza, gwałtowne narzucanie narodowi jakichś nowych idei i sztuczne przynaglanie go do ich przyjęcia, jest tém samém, co sztuczne przyspieszanie rozwoju władz umysłowych dziecka i nieoględne obładowywanie jego mózgu i pamięci wiadomościami, których nie rozumie i z których nie będzie umiało zrobić użytku. Przynaglanie to jest zupełnie tém samém, czém zbytnie pędzenie kwiatu w cieplarni; — pociąga za sobą najprzód wysilenie a potém objawy chorobliwe i śmierć duchową.

Rozwijajmy się raczéj o własnych siłach, chociażby to najpowolniéj dziać się miało, wydobywajmy sami z siebie własne idee, naszemu położeniu, naszym stosunkom odpowiadające, na własném naszém doświadczeniu oparte, nie oglądajmy się na innych. Tą naturalną drogą rozwoju późniéj może jak drudzy, ale niezawodnie do tych samych co cała ludzkość dojdziemy rezultatów; a może do innych? może do lepszych? dziś tego nikt rozstrzygnąć nie zdoła.

Nie wszystkie idee cudzoziemskie, choćby się djamentami zdawały, są dla nas dobre, jak nawzajem nie wszystkie nasze idee są dobremi zagranicą. Przyczyną tego: właściwości nasze, a czy te właściwości będziemy tłomaczyć na zasadach filozofji abstrakcyjnéj czy na podstawie nauk przyrodzonych, zawsze wypadnie że one są. Rzecz się ma z ideami jak z lekarstwem, które nie wszystkim ludziom jednakowo skutkuje, chociażby jednako byli chorzy. — Przypomina to nam starodawną, nieco rubaszną ale dość trafną facecję, którą Górnicki w swoim Dworzaninie podaje: „W Rzymie rozstękał się Polak, posłał sobie po doktora, aby mu dał lekarstwo; po oném lekarstwie w taką chorobę wpadł, że go on doktor odstąpił, powiadając mu, że trzeci dzień nie wynijdzie, a ty się pożegnasz ze światem. On Polak tak opuszczony nic się nie trwoży, wszakże grochu, co go medyk zakazował jeść, kazał garniec niemały uwarzyć, który ochotnie zjadł. Od tego czasu jęło mu się na zdrowiu

*) Te kilka uwag jako będące na czasie, mimo różnych w niektórych punktach zapatrywań, umieszczamy. (Prz. Red.)

poprawiać. Trzeciego dnia Włoch mimo domu idąc, gdzie Polak leżał, pyta, kiedy onego Polaka pochowano? Powiadają mu, że się lepiéj ma i ku zdrowiu przychodzi. Włoch się temu zadziwuje i wstąpił tam, coby za lekarstwa używał? pyta. Polak rzecze: Grochu mi się zachciało, i tak zjadłem go garniec i zaraz mi się jęło na zdrowiu poprawiać. Poszedł Włoch do domu nominując sobie, że Dioskorides téj mocy do grochu nie wiedział, co Polacy umieją. Napisał to, taki tytuł dawszy: Remedium contra mortem, R. Olla pisi bene cocti commedatur tota, non morietur. Co po polsku się rozumie: Lekarstwo doświadczone przeciw śmierci. Weźmij garniec grochu dobrego, uwarzywszy. Niechaj chory wszystek zje, tedy nie umrze. Niedługo potem trafiło się, że on medyk leczył Włocha. Widząc, że mu nic nie pomaga, uciekł się do recepty, jako do pewnego lekarstwa, co go miało od śmierci zachować. Kazał mu uwarzyć garniec grochu i przez gwałt kazał mu jeść. Włoch zjadłszy groch tego wieczora umarł. Medyk to widząc, przyszedłszy do domu, wziął one księgi swoje i poprawił sobie onéj recepty. Remedium contra mortem, sed tantum pro Polonis, jakoby rzekł: lekarstwo dobre przeciw śmierci, ale tylko dla Polaków."

Tak samo zupełnie rzecz się ma z przyswajaniem narodowi polskiemu tak zwanych djamentów literatury zagranicznéj...

Występując przeciwko przekładom w ogólności, nie myślimy bynajmniéj utrzymywać, że nowe jakieś, zwłaszcza wiele obiecujące teorje, dla tego że cudzoziemskie, nie powinny być w kraju naszym całkiem znane. Bynajmniéj, sądzimy tylko, że najprzód nauczyciele - przodownicy narodu, piszący, zgłębić je powinni. Ich rzeczą jest wszystko czytać, wszystko wiedzieć co się dzieje gdzieindziéj, naród zaś nie potrzebuje wiedzieć wszystkiego zawsze, bo naród jest dzieckiem, które piszący wychowują i jak dziecko, pod tym oczywiście względem, traktowanym być powinien. Powoli, stopniowo dziecko to dowie się o wszystkiém, Ostrożność największa jest tu tém potrzebniejsza, ponieważ przez nawał nowych idei, naród bardzo łatwo mógłby utracić z przed oczu cel główny, do którego wszyscy dążymy, któremu wszystkie nasze siły poświęcić winniśmy, którego osiągnienie jest pierwszém zadaniem naszego bytu na ziemi. Piszący zaś. chcąc przyswoić, zaszczepić narodowi swemu nowe idee, powinni zastanowić się naprzód, czy czas jest do tego stosowny, bo każda roślina ma właściwy sobie czas posiewu, wzrostu i kwitnienia... I pod idee grunt naprzód uprawić należy, czekać póki nie nadejdzie czas posiewu; należy nowe prawdy do rozmaitych okoliczności zastosować, i w takiéj postaci podać je narodowi, aby się istotnie przyjęły. W podobny sposób możnaby przekładać i powieści, ale należałoby przekładać na język polski nietylko myśli i słowa, lecz oraz charaktery i sytuacje...

Wié o tém dobrze Eliza Orzeszkowa, dla tego też, chociaż mniema że Paryż w Ameryce jest u nas nieznany, nie tłomaczy go od deski do deski, lecz tylko znaczenie prawd w tém dziele zawartych objaśnia i popularyzuje.

Nieraz robiono już u nas próby przekładów dzieł poważniejszych: wszak mamy po polsku Simona, Labouleya, Vogta i wielu innych, ale próby te żadnego nie odniosły skutku. Czyż w tém co dziwnego? Skoro na nasze własne rodzime wydawnictwa jak Franciszka Trzecieskiego w Krakowie i Władysława Mickiewicza w Paryżu nie ma pokupu, zkąd mógłby się wziąć pokup na uczone dzieła obce? Naród nie dojrzał jeszcze o tyle, aby je mógł zrozumieć i w nich zasmakować. Czekajmy jednak... powoli najdaléj zajdziesz, mawiali starzy.

Stanisław Nowiński.

PRZEGLĄD LITERACKI.

F. Wasilewskiéj Klementyna z Tańskich Hoffmanowa. Lwów 1871.

W ciągu ubiegłego roku, odbywały się we Lwowie publiczne odczyty przeznaczone dla kobiét. Panna Felicja Wasilewska obrała za przedmiot: „Klementyna z Tańskich Hoffmanowa"; pod tym napisem oddała swój odczyt do druku. Książeczka o 21 stronnicach. Lwów 1871.

Praca ta, chociaż tak małych rozmiarów, mile odświeża w pamięci autorkę znakomitych zasług a głównie znakomitych dla tego, iż ona to położyła węgielny kamień w zreformowaniu edukacji kobiét w Polsce, tak samo jak ksiądz Konarski w kształceniu mężczyzn.

Kładzie też prelegentka główny nacisk na wpływ, jaki Hoffmanowa wywierała pismami swemi na ówczesne pokolenie kobiét, z których należące do klasy zamożniejszéj odbierały po części edukację w języku francuzkim, jak gdyby nie należały do całości narodu. W następstwie takiego wychowania nietylko, że nie brały do rąk książek polskich, lecz zarzucały nawet w potocznéj rozmowie język ojczysty jako należący do gminu, popierając tém lekkomyślnie wynarodowienie, i służąc bezwiednie nieprzyjaciołom ojczyzny. W czasach tak smutnego zbłąkania, młoda Klementyna występuje jako autorka, wkładając do rąk wzrastających pokoleń, nietylko że pisane polskim językiem, ale ogrzane polskiém uczuciem pisma i książki.

Od razu zdobywa szerokie koło czytelniczek, nie już blaskiem swego talentu, jak raczéj, że wszystko co wyszło z pod jéj pióra, było zacne, serdeczne, pouczające, zastosowane do stopnia umysłowego rozwoju ówczesnych czytelniczek. Pierwsze jéj prace przeznaczone dla dzieci i młodocianego wieku, w wielu razach pouczały i matki, a co ważniejsze, iż budziły w nich szacunek dla własnego narodu i cześć dla wielkiéj jego przeszłości.

Słusznie mówi prelegentka: „Iż pisma Hoffmanowéj stały się jedną z silnych dźwigni ku podniesieniu i ulepszeniu wychowania, ku zwróceniu takowego na tory narodowe." W żadnéj z swych prac nie spuszczała Hoffmanowa nigdy tego zadania z oka, w najdrobniejszéj powiastce obok karmy moralnéj przebija miłość kraju rodzinnego, jaką stara się przelać w serce czytelniczek.

W dalszéj osnowie swego odczytu opowiada prelegentka, jak Hoffmanowa ucząc drugich nie przestała się uczyć sama, ztąd jéj prace noszą cechę coraz większéj dojrzałości, talent jéj z wiekiem wyraźnie wzrasta, czego najlepszą miarą powieści napisane w ostatnich latach jéj życia: „Krystyna" i „Jan z Czarnolesia."

Książkę do nabożeństwa dla Polek uważa prelegentka za jedno z arcydzieł Hoffmanowéj, a nad dołączonemi do niéj naukami tę trafną czyni uwagę:

„Hoffmanowa nie pozwala sobie nigdzie rozbierać, polemizować, potępiać inaczéj rozumiejących; nie exaltuje uczucia religijnego w żaden jednostronny, ostateczny kierunek, nie wpada w mistycyzm ani w obskurantyzm."

Odczyt panny Wasilewskiéj napisany ładnym potoczystym językiem, pogląd — o ile być może w tak ciasnych ramach — trafnie rozbierający życie i prace literackie Hoffmanowéj. Szczupłe rozmiary zastosowane do jednogodzinnego wykładu nie mogły objąć obrazu pełnego zasług autorki, podały jednakże trafnie jego zarysy.

†

KRONIKA LWOWSKA.

Rachujmy się! — Ferdynand i Ludwika na scenie lwowskiéj. — Wojna o wiatr. — Nowe wydawnictwa. — Świt i rok 1872. — Leopolski malarz. — Ekskuza. —

— β — Kronikarz „Dziennika Polskiego" którego ostre pióro niejednemu tutaj dało się we znaki, — którego dowcip i satyra chłoszczą niemiłosiernie wszystkie wady społeczeństwa galicyjskiego, — rok nowy rozpoczął nie od życzeń konwecjonalnych, nie od dowcipu, który czyni tak poczytnemi jego kroniki — ale od twardych słów: „rachujmy się!" Dość tych uścisków kłamanych, dość tych wizji proroczych, — nadszedł czas trzeźwéj rozwagi i porachunku .. Zdaj nam rachunek ty mężu polityczny, w którego ręce złożyliśmy godność i przyszłość naszą narodową... oblicz się z nami ty kapłanie, czyś czasem świętości wiary nie nadużywał dla świeckich celów... Zdaj nam rachunek ty matko, któréj obowiązkiem jest czuwać nad krokami dziecka... — Kardynalną wadą narodu naszego jest zbytnia miłość... „Kochajmy się jak bracia a liczmy się jak żydzi" mówi przysłowie. Nie, panowie, pierw rachujmy się a potem kochajmy się. Zbytnia miłość rodzi zbytnie zaufanie, a to znów wyradza najczęściéj rozczarowanie. Kochajmy się nie miłością która rodzi się przy kieliszku a gaśnie z ostatnią kroplą wina w czarce, lecz miłością która się liczy z afektem. „Kochajmy się!" wołali nasi ojcowie używając słodkiego far niente za Sasów... „Kochajmy się!" krzyczano w uszy umierającéj matce-ojczyźnie! „Kochajmy się!" pito z kielichów na osłodzenie goryczy niewoli po jéj rozdarciu... — Oto mniéj więcéj treść słów kronikarza „Dziennika" o ile mi one zostały w pamięci. Gorzka w nich prawda. — —

A skoro mowa o porachunku — obliczymy się tutaj z p. Wardzyńskim i z panną Deryng. Dwa te nazwiska przez kilka dni były w ustach wszystkich. A działo się to z następującéj okazji. — Dawano na scenie naszéj przed niedawnym czasem arcydzieło (dziś rara avis w teatrze lwowskim) genjuszu Schillera „Intryga i miłość." W roli Ferdynanda wystąpił młody i wykształcony artysta p. Wardzyński a w roli Ludwiki szesnastoletnia i utalentowana panna Deryng. Grali oboje wyśmienicie.... Ona w scenie z Wurmem, on w akcie piątym do frenetycznych oklasków pobudzili publiczność. Glansowane nawet rękawiczki tym razem biły szalone brawa. Piękne panie i modni panowie wychylali się z lóż swoich, aby przyklasnąć młodéj parze kochanków, co tak kochać i tak umierać umiała. Szkoda, wielka szkoda dla naszego teatru, że niezdołał on zatrzymać i nadal p. Wardzyńskiego, który podobno po pierwszym występie Lwów opuścił, — a z drugiéj strony grzech i zarzut niedbałości ciąży na dyrekcji, że zagrzebuje taki potężny talent dramatyczny, jaki ma bezwątpienia panna Deryng. Aby wam dać miarę tego lekceważenia, dość, gdy powiem, że po roli Ludwiki oddano artystce w kilka dni potem rolę suberetki...

Szczęściem dla publiczności a dobrodziejstwem dla teatru jest zwolnienie p. Miłaszewskiego z posady dyrektora. Otrzymawszy porękawicznego coś dziesięć czy dwanaście tysięcy guldenów, szanowny dyrektor zdecydował się wreszcie na zwolnienie z kontraktu. Aspirantów na jego miejsce niemało... Cetner z Łozińskim, Lech Nowakowski z Miłoszem Sztenglem, Stanisław Dobrzański z poparciem „Narodówki" — a co dowcipniejsze, podobno tenże sam pan Miłaszewski, stają w szeregu walczących. Jak się to skończy, nie wiem. Lecz jak śmieszną, jak dziecinną jest ta walka o wiatr, którą toczą ze sobą rywale, ten może mieć tylko pojęcie, kto zna cośkolwiek stosunki nasze lwowskie. Mnie to przypomina znaną bajkę o strzelcach targujących się o skórę z niedźwiedzia kiedy ten jeszcze w lesie siedział... Dawniejsi protegowani „Gaz. Nar." pp. Cetner i Łoziński, dziś są jéj solą w oku... Szczególniéj ostatni znosi za wszystkich. Nie wiem o ile to prawda, lecz, ponieważ tak mówią, więc i ja powtarzam za innemi wiadomość o staraniach panów Nowakowskiego i Sztengla. Wątpię czy ci panowie, którzy miernéj i małéj truppy utrzymać nie umieli w Poznaniu, odważyliby się tutaj na coś podobnego. Chyba że nie pojmują całéj odpowiedzialności, jaką biorą w obec sztuki i publiczności, lub rządzą się, o co ich nie śmiem posądzać, ową szkolną maksymą: audaces fortuna juvat! Co do trzeciego, t. j. co do p. Dobrzańskiego, ten na pewno zjeżdża do nas ze swą truppą w pierwszych dniach wiosny. I ten rywal podobno będzie najgłówniejszym. Ma on za sobą poparcie ojca i silnego stronnictwa „Gazety narodowéj." W każdym razie téj ostatniéj należy powinszować projektu towarzystwa akcyjnego, które w tych dniach ma podać się o koncesję i albo otworzyć drugi teatr lub też objąć dyrekcję skarbkowskiéj sceny.

Lecz dość już o teatrze.

Przechodzę teraz do wiadomości o najnowszych dziełach, które, już to wyszły już to niedługo mają opuścić prasę drukarską. Do rzędu tych pierwszych należy zapowiedziana w przeszłéj mojéj kronice „Galicjana" pana Łozińskiego, która w powabnéj szacie zewnętrznéj ukazała się oczom publiczności. Jest to rzecz ciekawa i zajmująca. Radzę wam przeczytać te kartki — w których autor daje interesujący pogląd na pierwsze chwile gospodarstwa austrjackiego w Galicji. Szkoda, że pan Łoziński nie przeprowadził pracy swojéj przez sto lat téj gospodarki, która do ostatka wycieńczyła i zdemoralizowała tę biedną prowincję. — Chcę wam a raczéj czytelnikom waszym również polecić powieści Kraszewskiego, których zbiór kompletny wychodzi właśnie w księgarni Gubrynowicza i Schmitta. Dotychczas wyszło jedenaście tomów. Wydawnictwo to tanie, ozdobne, — a imię Kraszewskiego sympatyczne i drogie narodowi — zjednywa mu coraz to szersze koło czytelników.

Jeden z najszanowniejszych księgarzy tutejszych, którego działalność na polu piśmiennictwa krajowego na lata zasług i poczciwych zabiegów się liczy, p. Karol Wild, wydaje obecnie „Obrazy z natury" których autorem jest Berlicz Sas. Przyjęcie, jakiego doznały u publiczności jego „Ukraina", „Pani Kasztelanowa" i w. i. pozwala wróżyć niemałą popularność téj ostatniéj pracy osiwiałego autora.

Z nowych wydawnictw na pewno już zasygnalizować możemy „Świt", którego prospekt jest dziś w rękach wszystkich, a którego zjawieniu się na pochmurném niebie literatury galicyjskiéj, przyklaskują szczerze Tuż za nim idzie „Rok 1872." Taki tytuł nosi zapowiedziany prospektem miesięcznik „piśmienniczo-poli-

tyczny“ przez p. Karola Widmana. Daj Boże, aby Świt przedarł się przez mgłę ślepoty i zastałości...

Do następnéj kroniki odkładam sprawozdanie z wrażeń, jakie wyniosłem opuszczając pracownię artysty-malarza pana Leopolskiego. Jest to jeden z wybitnych talentów, któremu świetną rokować śmiemy przyszłość.

Na zakończenie ekskuza. Tak, szanowni czytelnicy, palnąłem bąka w poprzedniéj mojéj kronice, — i dziś bić mi się w piersi przychodzi, uznać błąd swój publicznie, błagać przebaczenia waszego — i przeprosić pana Godzimira Małachowskiego, którego świetną mowę w czytelni akademickiéj niewłaściwie przypisałem p. Zawadzkiemu... Tém skwapliwiéj to czynię, że o p. Zawadzkim już kilkakrotnie udało mi się wspominać w moich kronikach, a o p. Małachowskim po raz pierwszy, lecz ze szczerym uznaniem mówić mi przychodzi. Dixi. —

POKŁOSIE.

— Dziś przedstawioną zostanie, uwieńczona na zeszłorocznym konkursie sztuka Michała Bałuckiego: „Pracowici próżniacy“, którą Poznań po raz pierwszy ujrzy; należałoby życzyć aby przedstawienie to nie wypadło tak niekorzystnie jak niedawne tegoż autora „Radcy pana radcy“, którą odarto z całego uroku dowcipu, grą pozbawioną werwy i wszelkich studjów. To też nic dziwnego, że komedja ta, która za każdém przedstawieniem w Warszawie przepełnia teatr widzami, u nas już przy drugiém nie zdołała jako tako go zapełnić. Nawet pan Dobrzański, wyborny w rolach tego rodzaju, mimo że świetnie odbijał przy całém obsadzeniu téj sztuki, którą my Poznanianie pamiętamy z owych jeszcze czasów gdy Rapackiego, p. Aszperger i p. Hoffman w niéj widzieliśmy, nie zdołał grą swoją wzbudzić interesu. Pannę Marję Górecką również należy wyłączyć, bo w grze jéj było dość prawdy z wyjątkiem tylko czytania owego wiersza, którym publiczność nie mogła się tak zachwycać, jak Helenka. Pan Kwieciński jak najfałszywiéj pojął rolę Zdzisława, a dyszkantowe tony, mające niby wyrażać tryumf nic nie mówiły widzom. O pani Wesołowskiéj powiedzieć musimy, że przewyższyła nasze oczekiwanie, choć arcy daleką była od kreacji autora. Co do pani Janosz, o téj chyba powiedzieć można, że budzi w widzach mimowolne pragnienie niepatrzenia i niesłuchania jéj. W teatrze prowincjonalnym może... może by uszła — ze składem naszego towarzystwa nie licuje ona wcale; cóż dopiéro gdy jéj powierzają role salonowe. —

* * *

— Od dnia 31go stycznia wychodzić będzie we Lwowie pod redakcją Karola Widmana „Rok 1872“ pismo miesięczne polityczno-piśmiennicze, zawierające:

1. Rozprawy o polityce bieżącéj.
2. Kronikę wypadków politycznych.
3. Rozprawy o kwestjach ekonomji społecznéj, statystyki stowarzyszeń i t. p.
4. Sprawy administracji krajowéj i autonomiczne, sprawozdania z czynności Wydz. kraj., Rad pow., Rad miejskich i gminnych.
5. Sprawy oświaty publicznéj: czynności rad szkolnych, towarzystw pedagogicznych i t. p.
6. Rozprawy naukowe i literackie, rozbiory dzieł i kronikę literacką.
7. Przegląd artystyczny: Sprawozdania z czynności Towarzystw artystycznych, wiadomości o teatrach itd.
8. Wspomnienia historyczne i życiorysy.

* * *

— Poezje Dr. Adama Asnyka (El...y) wyczerpane zupełnie w handlu księgarskim, ukażą się wkrótce w drugiém wydaniu i to powiększone o drugie tyle.

* * *

— P. Klemens Kantecki, którego prac kilka zamieściliśmy w przeszłym roczniku naszego pisma, ogłosił nakładem F. H. Richtera epizod z dziejów Florencji p. n. „Życie Hieronima Savonaroli.“

* * *

— Jan Zacharjasiewicz wykończył cztery nowe powieści p. n. „Albin“, „Niedokończony telegram“, „Herbata“ i „Opinja parafjalna.“

X. J. Stagraczyński, redaktor Tygodnika Katolickiego, wydaje szereg przełożonych na język polski „Powieści hiszpańskich“ pióra Fernan Caballero.

* * *

— Nakładem wydawnictwa Czytelni ludowéj A. Nowoleckiego w Krakowie wyszedł na pamiątkę stuletniéj rocznicy pierwszego podziału Polski Henryka Szmitta „Szkic historyczny dziejów trzydziestoletniego panowania Stanisława Augusta, ostatniego króla polskiego, ozdobiony ośmioma rycinami rysunku J. Kosaka i W. Eljasza.

* * *

— Kazimierz Kaszewski, autor niedawno temu przedstawionéj na naszéj scenie komedji p. n „On będzie moim“, przełożył na język polski „Gabrjelę“ Augier'a.

* * *

— We Lwowie ma wychodzić od 1go lutego nowy tygodnik naukowy, literacki i artystyczny p. t. „Świt.“

* * *

— Juljan Ochorowicz, który pracami swemi psychologicznemi ogromne budzi zajęcie w Warszawskiéj publiczności, obecnie ma dać dwie prelekcje „O kształceniu charakteru“; jest to przedmiot niezmiernie zajmujący, cóż dopiéro gdy go tak zdolne, jak p. Ochorowicza, obrobi pióro; to też publiczność Warszawy, tak chciwa każdéj poważniejszéj pracy, równie tłumnie pewnie zbierze się na zapowiedziane prelekcje jak na tę, którą p. Ochorowicz miał przed kilkoma tygodniami. Dowiadujemy się, że w końcu lutego ma on zamiar w Poznaniu urządzić kilka prelekcji psychologicznych, które niewątpliwie dla samego przedmiotu, jak również dla przystępności wykładu licznych zbiorą słuchaczy.

* * *

— Księgarnia Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie sprzedaje obecnie po znacznie zniżonych cenach nakłady księgarni B. M. Wolffa w Petersburgu, która wydawała bardzo cenne a nawet pomnikowe dzieła polskie. (Kur. Pozn.).

* * *

— W zamieszczonym w pragskim „Vestniku“ bibljograficznym spisie abecadłowym Pseudonimów zachodzących w literaturze czesko-sławiańskiéj zwraca na siebie uwagę następujący zapisek: „Polonus (Pelcicky) Valentin Polak? (1582—89.“

* * *

— Wychodząca w Pradze czeskiéj „Correspondance slave“ zamieszcza w Nr. 3 artykuł wstępny p. n. „La désertion des Polonais“, w którym pisze pomiędzy innemi: „En effet, il n'y a guère d'histoire où la désertion politique, les contradictions, le parjure et la trahison remplissent plus de pages que dans l'histoire Polonaise.“ — Jakkolwiek nie jesteśmy wtajemniczeni w politykę galicyjską, którą potępia powyższy artykuł ze stanowiska sławiańskiego, trudno nam ominąć przytoczony tu ustęp bez wypowiedzenia żalu do pobratymców przemawiających podobnym do nas językiem. — My Polacy nie pojmujemy wprawdzie Pansławizmu rosyjskiego z rządami niemieckiemi, czujemy przecież potrzebę łączenia się z przyjaznemi nam narodami w obec wiszącéj nad naszemi głowami kwestji sławiańskiéj. — Do naszych pism politycznych należy przygotowywać w tym względzie opinję publiczną, która w danym razie powinna nas zastać zgodnych i tém samém groźnych dla występującego do walki nieprzyjaciela.

— Marianna Florenzi — Waddington, filozofka włoska, umarła w kwietniu czy maju przeszłego roku we Florencji, dokąd przybyła z Perugia celem ogłoszenia listów Ludwika I., króla bawarskiego, dotyczących rzeczy włoskich i niemieckich. Z około trzech tysięcy tych listów przeznaczyła do druku czterysta, objaśnionych i uzupełnionych własnemi dopiskami. — Marianna Florenzi - Waddington, urodzona w pierwszych latach bieżącego stulecia, córka Piotra hrabiego Bacinetti i Laury hrabianki Rossi, wyszła w piętnastym roku życia za Hektora margrabiego Florenzi, odebrawszy pierwotne wykształcenie w szkole Santa-Chiara w Faenza, gdzie filozof Torrigiani przyspasabiał ją zwolna do studjów poważnych. Z pierwszego małżeństwa miała jednego syna i córkę, która wyszedłszy za hrabiego Hund'a z Monachium, wyjednała niezawodnie matce przystęp do dworu królewskiego.— Oddając się coraz więcéj naukom filozoficznym, tłomaczyła margrabina Florenzi niektóre dzieła niemieckie na język włoski i tym sposobem stała się pierwszą, która Włochom w sposób przystępny dostarczała pojęcia o wiedzy niemieckiéj. — Schelling, Rosmini, Gioberti, Mamieni, Babinet, Cousin, Bunsen i inni filozofowie współcześni podziwiali potęgę ducha w téj kobiecie. — W osobném piśmie zbijała system uczonego mnicha włoskiego Bini, a król bawarski Maksymiljan wręczył jéj w dowód wysokiego uznania jéj zdolności niewydane podówczas jeszcze utwory Schellinga, z których przełożyła na język włoski i objaśniła własnemi dopiskami djalog o Jordanie Bruno. — Owdowiawszy w młodym jeszcze wieku, wyszła za Anglika Waddington. — Dzieła jéj wywołały prześladowania ze strony rządów papiezkich.

* * *

— Karol Detlef, autor powieści Niemieckich „Bis in die Steppe“ i „Unlösliche Bande“, w których zręczném piórem kreśli życie rosyjskie, wydał nową powieść p. n. „Nora.“ Rzecz dzieje się w Niemczech i przez pewien czas w Petersburgu. Nora, biedna lecz piękna i dumna ze swego pochodzenia sierota, wzbudza w domu swego stryja ku sobie nienawiść stryjenki i kuzynki. — Znużona takiem pożyciem, chce się wydostać z tego domu i przyjmuje oświadczenie, po zerwaniu którego wychodzi za hrabiego Magnusa, posła u dworu petersburskiego. Podczas sześcioletniego małżeństwa, zawartego nie z miłości lecz rozumu, i po różnorodnych doświadczeniach rozwija Nora szlachetny pierwiastek swojéj duszy, wychodząc nareszcie za hrabiego Rauden'a który ją kochał od jéj lat dziecięcych.

* * *

— Z wydanych w najnowszych czasach dzieł niemieckich zwracają na siebie uwagę publicystyki: Fridolina Hoffmann'a „Römisches Alltagsleben;“ — Henryka barona Maltzan'a „Aegyptische Zustände;“ — Ludwika Weis'a „Anti-Materialismus, Vorträge aus dem Gebiete der Philosophie mit Hauptrücksicht auf deren Verächter;“ — Fryderyka Spielhagen'a powieść p. n. „Allzeit voran;“ — „Jahrbücher der deutschen Armee und Marine“ pod redakcją pułkownika Henryka von Loebell; — Dr. R. Klostermann'a „Das Urheberrecht an Schriftwerken;“ — Karola Heinzen'a „Was ist wahre Demokratie? Beantwortet durch eine Beleuchtung der Verfassung der Vereinigten Staaten;“ — jenerała von Troschke „Kaiser Wilhelm und das eiserne Kreuz;“ — Weber'a „Illustrirte Kriegs-Chronik. Gedenkbuch an den deutsch-französischen Feldzug von 1870—1871;“ — Juljusza Rathgeber'a „Strassburg im sechzehnten Jahrhundert,“ — Marji von Olfers „Novellen;“ — J. Günther'a „Verflossene Stunden;“ — Ottona Spamer'a „Illustrirtes Conversations Lexikon für das Volk“ i tegoż „Buch der Erfindungen, der Gewerbe und Industrieen,“ — „Briefwechsel von Katharina Elisabeth Goethe;“ — Kunona Fischer'a „Ueber die Entstehung und die Entwickelungsform des Witzes;“ — Augusta Bernhardt'a „Die forstlichen Verhältnisse von Deutsch-Lothringen;“ — Agnieszki Kayser-Langerhanss „Zbiór poezji;“ — Hermana Grimm'a „Zehn ausgewählte Essays zur Einführung in das Studium der modernen Kunst“; — Gustawa Jakobsthal'a „Die Mensuralnotenschrift des XII und XIII Jahrhunderts“; — Dr. Adolfa Zehlicke „Von Weissenburg bis Paris“; — Bezimiennego „Die Deutschen in Amerika und die deutsch-amerikanischen Friedensfeste im Jahre 1871“; — Hermana Hoppe „Katalog der wichtigeren hervorragenden und besseren Schriften deutscher Literatur, welche in den Jahren 1801 bis Ende 1868 erschienen“; — Jeremiasza Gotthelf'a „Sechs Erzählungen aus dem Emmenthal“; — Arnolda Wellmer'a „Bruder Studio“; — barona Kruedener'a „Die Privilegien Livlands“; — zbiór poezji niemieckich p. n. „Dornrosen, Erstlingsblüthen deutscher Lyrik in Amerika“; — Dr. Adolfa Jellinek „Bezelem Elohim, Fünf Reden über israelitische Menschenlehre und Welt-Anschauung; Gustawa Karpeles „Unter Palmen, Literaturbilder.“

* * *

— Albert Haeger przełożył na język niemiecki z holenderskiego epos H. Tollens'a, opisujący wyprawę holenderską do krajów północnego biegunu w r. 1596.

* * *

— Piszą, że p. Wilhelm Rüstow oswobodzony niegdyś przez ś. p. Tyt. Działyńskiego z tutejszego odwachu oficer pruski a dziś sławny publicysta wojskowy, był w Wersalu bardzo przychylnie przyjmowany przez Thiersa, który pragnie zasięgnąć jego rady względem reorganizacji wojska francuzkiego. O nim donosił już przed 22 sierpnia 1870 r. paryzki dziennik L'histoire, że pułkownik Rüstow, pochodzenia pruskiego a naturalizowany Szwajcar, który okazał się bardzo użytecznym marszałkowi Niel w jego pracy przeistoczenia armji francuzkiéj, wrócił do Paryża. Wydał on dzieło o ostatniéj wojnie prusko-francuzkiéj pod napisem: „Krieg um die Rheingrenze.“ (Dzien. Pozn.)

* * *

— Nowe wydanie wszystkich dzieł Schillera wyszło nakładem Karola Prochaski w Lipsku i Cieszynie. — Pozazdrościć możemy Niemcom liczby czytających i myślących ludzi. Piśmiennictwo ich ogarnia wszystkie gałęzie wiedzy ludzkiéj, podczas gdy nasze ograniczając się przeważnie na dziennikarstwie i na ulotnych utworach, czuje w kierunku naukowym próżnię, którą tylko zaciekawienie całego Ogółu naszego wypełnić podoła.

* * *

— „Magazin für die Literatur des Auslandes“ w Nr. 51 zamieszcza rozbiór dziennika oficera armji nadreńskiéj Karola Fay, przełożonego na język niemiecki przez Dr. Oskara Schmidt'a i wydanego w Poznaniu u Ludwika Merzbacha. Tłomaczenie polskie dzieła tego z wszech miar ciekawego, które rozbieraliśmy w Nr. 27 naszego Tygodnika, mniejszego niestety doznaje u nas powodzenia niż przekład niemiecki prawie zupełnie już wyczerpany.

* * *

— Równocześnie prawie z powyższym wyszedł nowy przekład niemiecki dzieł Molière'a, nieśmiertelnego komika francuzkiego. — Podczas gdy Niemcy kilkakrotnie tłomaczą na język ojczysty klasyków obcych, nam trudno się zdobyć na jednokrotny nawet przekład wszystkich arcydzieł zagranicznych. Natomiast jakoby urągając zdrowemu rozsądkowi, tłomaczymy i czytamy nędzne nawet powieści.

* * *

— Dr. Brunelewki (!) opracował H. J. Ewald'a powieść duńską o rodzinie Nordorf w języku niemieckim.

* * *

— Fryderyk Notter wydaje w przekładzie niemieckim Dantego „Boską Komedję“, któréj pierwsza część już wyszła z druku.

* * *

— Grzegorz Konstanty Wittig przetłomaczył na język niemiecki, a Aleksander Aksakow wydał amerykańskiego profesora chemji Roberta Hare dzieło o badaniach nad objawami duchów.

* * *

— Niemcy nie poprzestają przymilać się Holendrom, którychby pragnęli wcielić do swéj nienasyconéj Ojczyzny i uszczęśliwić à-tout-prix. Holandja bowiem geograficzném położeniem swojém zaprasza widocznie do zaokrąglania się wycieńczoną, biedną Germanję. „Ani rogatki, — piszą pomiędzy innemi, — ani granice nie zdołają odgraniczyć narodu — duch bowiem jego sięga, gdzie tylko znajdzie krew z krwi, kość z kości swojéj .. Niemiec przyznaje każdemu swoją odrębność.“ Słowa te i wiele innych do tychże podobnych brzmią obłudą i ironją w ustach tych, którzy Polskę ćwiartowali, — którzy nam narodowości naszéj odmawiają, — którzy na kościach sławiańskich wznieśli gmach swojé wielkości.

* * *

— Odsyłając Szanownego Czytelnika do Pokłosia Nr. 33go naszego Tygodnika, donosimy, że złodzieja Niemca jezuitę **Aloizego Pichlera** wskazano na wieczne wygnanie do Syberji za popełnioną w bibljotece petersburgskiéj kradzież książek.

* * *

— **Babu - Keszuk - Chunder - Sen**, bawiący przez pewien czas w Anglji, bramau indyjski, pracuje obecnie w Kalkucie nad tém, ażeby tam pozaprowadzać wolne parafje na kształt Unitarjanów.

* * *

— **Kaulbacha** obraz przedstawiający króla szkockiego Jana V, zagajającego posiedzenie najwyższego trybunału w Edinburgu, nabyło Tow. Sztuk Pięknych w Wiedniu.

* * *

— W Erfurcie sprzedano niedawno temu **łacińską Biblję** z roku 1450—5, wydaną z drukarni Guttenberga. Dotąd znano tylko 16 egzemplarzy tegoż wydania, z których sześć na pargaminie a dziesięć na papierze.

* * *

— **O urnach i nawodziskach** odkrytych niedawno w Lussowie pisze biegły w etnologji uczony Ryszard Adrée, co następuje: Przy uprawianiu przestrzeni około ośm morgow pruskich wynoszącéj, we wsi **Lussowie**, o dwie mile od **Poznania** odległéj, która z lekka się zbliża ku jezioru Lussowskiemu, napotykał pług w głębokości jednéj tylko stopy często na kamienie polne. Właściciel tych dóbr pan Boas, którego to zastanowiło, kazał czynić dalsze poszukiwania, które stwierdziły ten zajmujący fakt, że cała ta ośmiomorgowa przestrzeń mieści w sobie niezmierne pole urn. Urny ustawione były szeregami, jeden szereg od drugiego mniéj więcéj o 7 stóp odległy. W ogóle naliczono około 100 szeregów, tak że odkryto przynajmniéj 10,000 urn. Były one różnéj wielkości, od znaczniejszych, mających 3 stopy średnicy, które jednakże wszystkie się rozsypały, aż do małych, pól stopy średnicy wynoszących. Wszystkie były z niepolewanéj, czarnéj gliny. Pod względem kształtu i surowo wyrzniętych linji nie różniły się niczém od zwykłych urn wykopywanych. Większą część wykopaliska stanowiły małe, stopę wysokości mające urny; tylko tu i owdzie znachodziły się urny, mające 3 stopy średnicy. Wszystkie urny okolone były kamieniami i niemi pokryte. Pan Boas znalazł poszlaki, że pole urn rozciąga się jeszcze daléj i że dzisiejsze odkrycie powtórzyć się może. W urnach znajdował się popiół z kości, który w takiéj był ilości, że go można było użyć na wywóz. Piękna na tym gruncie wyrosła lucerna. Broni, sprzętów itd. nie znaleziono żadnych, jedynie odkryto pod powierzchnią ziemi miejsca od ognisk. Celem regulacji i pozyskania gruntu kazał p. Boas jezioro Lussowskie po części wysuszyć i nie mało się zadziwił, jak za opadaniem jeziora znaczna liczba pali pokazywać się zaczęła z wody. W ogóle policzył pan Boas ośmdziesiąt regularnie wbitych pali, mających przecięciowo 8 do 10 cali średnicy. Pale te połączone były z lądem całym szeregiem innych pali, na których zapewne most spoczywał.

(Kuryer Pozn.)

* * *

— **Przed starożytną Troją.** „Zapadłe, Święte Ilion" zajmuje cały uczony świat. Znaną jest rzeczą już od kilku lat, że w saméj rzeczy odkryto pagórek ruin tego bardzo rozległego miasta. Obecnie dr. Henryk Schliemann czyni tam poszukiwania archeologiczne, walcząc z wielkiemi przeszkodami, które mu stawiają na drodze badań ogromne ilości rumowiska i ziemi, a co więcéj, niesłychane lenistwo robotników greckich. Wydobyto dotąd wiele przedmiotów przypominających Fenicjan, kilka wypalanych naczyń glinianych i mnóstwo ozdobnych terrakotów; (które jak sądzą, archeologowie, służyć miały Fenicjanom za wagi i miary). Uwagi godném jest wykopalisko, składające się z dużego kamienia, okrytego napisami tak pogmatwanemi i niepodobnemi do żadnych znaków pisarskich, że ich nie można do jakiejkolwiek ze znanych dotychczas mów ludzkich zaliczyć. Odkryto także źródła cieple a nieopodal źródło zimnéj wody, gdzie niewiasty Trojańskie za miastem bieliznę prały. Podług dotychczasowych poszukiwań, obszar miasta mieścić mógł najwięcéj 10,000 ludności, a nie jak sądzono dotychczas 50,000. (Dz. Pozn.)

* * *

— **William H. S. Aubrey** wydał pierwszy tom swéj Historji angielskiéj p. n. „The national and domestic History of England", sięgający aż do końca panowania Ryszarda II. Obok dziejów politycznych swego narodu przedstawia autor jego stan społeczny, ekonomiczny i obyczajowy.

* * *

— **Nekrologja:** W Siemienikach, w powiecie radzyńskim, umarł **Dr. Jan F. Kulesza**, autor kilku rozpraw lekarskich; — dnia 10 stycznia **Stanisław Wołłowicz**, były poseł powiatu pustockiego i kawaler krzyża wojskowego; — dnia 14 stycznia **Maksymiljan Zelkowski**, chlubnie znany agronom polski i żołnierz z r. 1831; — panna **Jarosława Blahut**, młoda pianistka czeska; — dnia 3 grudnia p. r. **Teodor Gassmann**, autor niemiecki.

W myśl rzuconego przez **Albina** hr. **Węsierskiego** projektu otwieramy dziś składkę w celu zakupienia popiersia lub portretu **Alexandra hr. Przeździeckiego** do sali poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, którą rozpoczynamy imieniem inicjatora:

1. JWny Albin hr. Węsierski........ 25 tal.

Przedpłaciciele
na książkę pamiątkową naszego wydawnictwa:

216.	Wny Jakób Tylman ze Żnina	1	egz.
217.	Wny Dr. Mazurkiewicz z Krosna	1	„
218.	Wny A. Kruszewski z Gniezna	1	„
220.	Wny K. Gąsiorowski w Śremie	3	„
221.	Towarzysz pancerny z pod Trojaczka	1	„
222.	Wny Juljusz Sypniewski w Bydgoszczy	1	„
223.	Wna Chrzanowska z Jelitowa pod Czerniejewem	1	„
225.	Bezimienny z Bydgoszczy	2	„

Skrzynka do listów.

Przypominamy się pp. J... K... z J... pod L... i W... Ł... z M......

P. E... M... z K... pod K...: Jakkolwiek urząd pocztowy, w którym złożono przedpłatę, zobowiązany jest dostarczać wszystkich numerów naszego Tygodnika, wysłaliśmy pod opaską Nr. 1 i 2 ze względu na możliwe ze strony urzędów pocztowych trudności.

P. M... G... z T... pod O...: Osobnych okładek do przeszłorocznego rocznika naszego nie posiadamy. Za nadesłane numera należy się nam sześć srebrników.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.